

Egzotyczny świat Indochin

Dziś zapraszam Czytelników na wyjazd do egzotycznego i orientalnego świata Indochin, które podbiły moje serce u progu reporterskich podróży.

JACEK PAŁKIEWICZ

Od 70 lat nie ma już tej nazwy na mapach świata, ale leżące między Morzem Południowochińskim i Zatoką Syjamską było kolonialne imperium francuskie wciąż emanuje atmosferą nieuchwytniej melancholii, aromatem kadzideł, zapachem opium płynącego z nielegalnej palarni oraz czarem idyllicznego pejzażu jakby żywcem wyjętego z dawnych sztychów.

Region jest ostatnim zakątkiem XIX-wiecznej Azji tak bliskiej sercu Josepha Conrada czy Rudyarda Kiplinga. Azji, która wydawało się, że już dawno nie istnieje. Somerset Maugham napisał, że widok pagody podnosi go na duchu „niczym nagle nadzieja w mrocznej nocy duszy”, Kipling zaś mówił o zachwycających stupach skąpanych o świcie w różowej poświacie, o złotych kopułach pagód połyskujących w świetle księżyca czy też o codziennym spektaklu uroczystego szyku mnichów, którym ludzie ofiarowują garstkę ryżu.

Po latach wracam do Luang Prabang, dawnej stolicy Laosu. Przylot tutaj z hałaśliwego, opanowanego przez smog, przytłaczającego wszechobecnym chaosem Bangkoku robi niezatarte wrażenie... Wydaje mi się, że przeniosłem się w jakiś surrealistyczny



świat, gdzie globalizacja jeszcze nie zapuściła korzeni. Urzekają mnie niespotykane, pogodne ciepło miasteczka, jego cisza, zapach jaśminu i drewna sandałowego, a także relaksowy klimat i przyjaźni ludzie, nie mówiąc o osobliwej urodzie kobiet. Pośpiech nie ma odpowiedników w laotańskim słowniku. Egzystencja jest odbiciem niespiesznych ruchów buddyjskich mnichów, powolnego nurtu ciemnobrunatnych wód Mekongu i głębokiej duchowości, która stanowi integralną część życia mieszkańców tego kraju.

Nie ma tu ani wieżowców, ani spalin samochodowych, są natomiast widoczne wpływy francuskie: uliczne stoiska sprzedające bagietki prosto z pieca, kremowe nugatowe lody czy wyjęte z paryskich dzielnic odrestaurowane, pomalowane w odcieniach żółci wille w palladyńskim stylu. Są perfekcyjnie wtopione w bujną przyrodę i okoliczne pofałdowane sinusoidalne tereny, pośród których można dojrzeć tarasowe pola ryżowe.

Mój przyjaciel, długo mieszkający w Bangkoku, dywagował, że Luang Prabang to nie miejsce geograficzne odmiennego świata, a stan duszy. Taki klejnot ze śladami francuskiej przeszłości kolonialnej, miasto dla „koneserów” potrafiących docenić niepowtarzalnego egzotycznego ducha południowo-wschodniej Azji i przesiąkniętą religią atmosferę, którą w XXI wieku coraz trudniej jest znaleźć. – Miasto wymaga szacunku – zauważa z uśmiechem Mr. Phouthasack, właściciel jednego z licznych antykwariatów, które wyrosły tu w ostatnich 10 latach. – Powinno się na nie spoglądać jak na wytworną i wyniosłą kobietę, która nie jest gotowa oddać się każdemu. Rzeczywiście: Luang Prabang nie jest przeznaczone dla masowej turystyki.

Każdego dnia w blasku poranka, przy pierwszych donośnych pianach kogutów, wynurzają się z wilgotnych oparów podnoszących się z wód legendarnego Mekongu mniși



Adobe Stock

Ulotny czar idyllicznego pejzażu

buddyjscy otuleni w jaskrawopomarańczowe szaty. Przechodzą ustaloną trasą, poruszając się gęsiego z gracją i na bosaka w długim uroczystym szyku. W milczącej procesji zbierają od wiernych oczekujących na kolanach przed swoimi domami ofiarę w postaci garstki gotowanego ryżu, owoców, galaretowatych ciastek i innych artykułów spożywczych. Tradycyjnie już od XIV wieku w Laosie prawie każdy młodzieniec trafia do klasztoru, w którym przebywa przynajmniej pół roku. Może tam spędzić i lata, wtedy zdobędzie wykształcenie, na które nie byłoby stać jego rodziców. Warunki bytowe są krańcowo spartańskie, mnisi nie mają bieżącej wody, posiłki spożywają tylko dwa razy dziennie i tylko to, co otrzymają od ludzi. Czas spędzają na kontemplacji, nauce i przy pracach porządkowych w świątyni. Pozbawieni rozrywek muszą przestrzegać długiej listy 227 najróżniejszych przykazań.

Zatrzymałem się tutaj w starym kolonialnym skrzydle Hotelu Villa Santi, położonym w historycznym centrum miasta, parę kroków od Pałacu Królewskiego. Przestronny pokój z dużym łóżkiem pod baldachimem, osłonięty moskitierą, wysoki sufit i obracające

się powoli skrzydło sufitowego wentylatora podkreślają dawną atmosferę Orientu, wyjętą ze stronik książek Conrada. Uroku dopełniają piękny, starannie utrzymany ogród, tamaryndowce cenione ze względu na swoją piękną żółtoczerwoną barwę drzewa i świeży zapach egzotycznych frangipani docierający przez okno.

Okolicę wypełnia niezwykle przenikliwy i niesprecyzowany zapach. To mój ulubiony durian, „nektar bogów”, którego magnetyczny aromat jednocześnie przyciąga i odpycha. W Indochinach mówi się, że ma odór piekła i woń nieba. Alfred Russel Wallace napisał, że warto było przyjechać w ten zakątek świata tylko po to, aby spróbować tego owocu. Uprawiany w większości krajów południowo-wschodniej Azji intryguje i budzi skrajne emocje, od ekscytacji po zniesmaczenie. Rozszczepiam skorupę kolczastego durianu na segmenty i wydobywam kremowy jasny miąższ, podobny do gęstego budyniu. Dla mnie ma pyszny niebiański smak i rozpywa się w ustach, ale innym przywodzi na myśl mieszankę migdałów z serem gorgonzola i sosem cebulowym.

Egzotykę miasta stanowi urzekająca potęgą Mekong, życiodajna tchnąca mitologią arteria wodna Indochin. Na przełomie dziejów był głównym środkiem utrzymania milionów ludzi, świadkiem gwałtownych przemian, upadków imperiów, krwawych wojen, zawieruch politycznych, końca dominiów kolonialnych, handlu opium, a także zbrodniczych dyktatur, które zdewastowały ten zakątek świata, sprowadzając go do synonimu zniszczenia i bólu.

Tajemniczy, odległy w sensie zarówno geograficznym, jak i czasowym, mało znany Laos nieśmiało zagłębia się we współczesność. Stopniowo poddaje się nowinom technologicznym reprezentowanym przez telekomunikację i internet. Posiada wprawdzie elektryczność, ale nie zawsze jest ona dostępna. Każdy samochód jest tutaj sporą atrakcją. Kraj o wielkości 2/3 powierzchni Polski i zamieszkały zaledwie przez 6 mln ludzi pokryty jest w 80% przez gęste →



Archiwum Jacka Paikiewicza

Wietnamskie ryżowisko



Wyprawa autora do plemienia Jarai w Wietnamie

→ lasy, niedostępne góry, gdzie żyje multietniczna mozaika sześćdziesięciu zamkniętych mniejszości narodowych, tzw. plemion górskich: Hmong, Mieu, Ikor, Akha i innych, zachowujących prastare tradycje, wierzenia animistyczne oraz kult przodków. Wieśniacy żyją w bambusowych chatkach budowanych na palach, krytych strzechą i oświetlanych płomieniami świec. Pędzą ryżowy bimber zwany lao-lao i uprawiają plantacje maku opiumowego. Spotkanie z przyjezdnym jest dla dzieciaków, o wciąż smutnych buziach, zawsze doniosłym wydarzeniem.

Laos nie został jeszcze dotknięty „makdonaldyzacją”, postawą konsumpcyjną i komercjalizacją życia, dlatego nie upadła tradycyjna obyczajowość i nie zerwano więzi międzyludzkich. Nie zanikają życzliwość i pogoda ducha, uczciwość i otwartość, cechy, których coraz bardziej brakuje w naszej codziennej egzystencji. **i**

JACEK PAŁKIEWICZ
reporter, eksplorator



Orientalny bazar na wodzie

Zdjęcia: archiwum Jacka Pałkiewicza